



## TYGODNIK ILUSTROWANY DLA DZIECI.

**PRENUMERATA WYNOSI:**

W WARSZAWIE rs. 4. na prowincyi w kraju i zagranicą rs. 5 — stosownie do téj ceny półroczna i kwartalna.

Biuro Redakcyi, ulica Mazowiecka Nr. 10 nowy.

## Z WYSPY ATLANTY

Wyczytała przez drobnowidz i przepisała

**Zofia Urbanowska.**

**Janek sierota do Redakcyi Wieczorów Rodzinnych.**

*Różany gaj dnia 1-go Sierpnia 1880 r.*

Szanowna Redakcyo.

Wczoraj wysłałem obszerny list do Warszawy, a dziś oto czuję znowu potrzebę wyprawienia drugiego, tak wiele rzeczy widziałem i słyszałem. Pierwszą noc na Atlantie spędziłem prawie bezsenność—nie wiem, ze zbytku wrażeń, czy z powodu kaszlu uparcie mnie trapiącego; widocznie przeziębilem się trochę podczas burzy na okręcie. Nad ranem za to zasnąłem tak twardo, że gdy nareszcie otworzyłem oczy, słońce już było bardzo wysoko. Spojrzałem na zegarek, obawiając się, czy czasem nie przespałem godziny naznaczonej na posłuchanie, ale wskazywał dopiero dziewiątą. Kładąc go napowrót, zobaczyłem leżący na stoliku przy łóżku list. Marszałek dworu zawiadamiał mnie, że nie o dziewiątej, ale o jedenastej dopiero będę miał posłuchanie, bo przedemną musi być przyjęty poseł indyjski, który wczęsniej przyjechał — oraz że o naznaczonej godzinie mam się stawić na dziedzińcu pałacowym przy zegarze *Flory*, gdzie znajdujący się oficer gwardyi królewicza, Astragalus, wskaże mi drogę do sali tronowej. Miałem więc przed sobą dwie godziny.

Czytałem i odczytywałem tę kartkę, a wyrazy skakały mi przed oczyma: „poseł indyjski... gwardya... sala tronowa...” więc ja naprawdę jestem na wyspie Atlantie, a właśnie śniło mi się że wracałem do Dębowej Woli z moim workiem podróżnym w rękę, piechotą, boso i bez czapki, a bracia śmiali się ze mnie!... Zacząłem uczuwać trochę głodu i mimowoli rzuciłem okiem w kierunku stołu, gdzie wczoraj tak obfita znajdowała się



zastawa do wieczery — patrzę, a tam już wszystko przygotowane do śniadania; ze srebrnych i porcelanowych naczyń unosi się leciutka, delikatna para. Kiedy przyniesiono to wszystko i jak ja mogłem tego nie słyszeć, ja, co w Dębowej Woli budzę się zawsze na każdy szelest — trudne mi to było do pojęcia! Chyba ludzie w królestwie roślin ukazują się i znikają jak duchy, nie czyniąc więc szmeru niż kwiaty poruszane wiatrem.

Ubrałem się prędko i zmówiwszy pacierz zasiadłem do stołu, nie mogąc się opędzić grzesznemu żalowi, że królewicze pogodzili się z sobą, bo gdyby niezgoda trwała jeszcze, to zamiast srebra i porcelany, miałbym teraz przed sobą naczynia z białych twardych ziarn słoniorośli, których królewicz Zielonko poprzednio używał, jak to w *Niezdolnych królewiczach* czytałem, i z masy papierowej, błyszczącym powłoczonej pokostem; zamiast mleka krowiego, piłbym mleko aromatyczne, utoczone za nacięciem kory, z mleczodrzewu amerykańskiego, a zamiast pięknie wypieczonych przez piekarza bułeczek, krajałbym chleb pochodzący z drzewa chlebowego, które podobno rośnie na wyspach oceanu Spokojnego i smarowałbym go masłem wytłoczonym z ziarn owoców afrykańskiego masłacza senegalskiego. Możeby mi to wszystko mniej smakowało, ale byłoby osobliwsze w tym kraju pełnym osobliwości. Widocznie jednak te potrawy roślinne nie musiały być najlepsze, skoro po dokonanej zgodzie królewicz wyrugował je z codziennego użycia, i powrócił do dawnego sposobu żywienia się, polegającego na łączeniu pokarmów roślinnych ze zwierzęcymi i mineralnymi.

Po śniadaniu zeszedłem na dziedziniec szukając zegara Flory wymienionego w liście hrabiego Lilium Martagon; bo chociaż miałem jeszcze dużo czasu przed sobą, nie mogłem usiedzieć między czterema ścianami mego pokoju, party chęcią ujrzenia posła indyjskiego, gwardyi i wszystkich cudowności. Zegara nie dojrzałem nigdzie, ale zobaczyłem dziwne drzewa rozstawione na dziedzińcu i wzdłuż pałacu, drzewa z ludzkimi twarzami.

— Wielki Boże! — pomyślałem — albo się ze mną dzieją jakieś czary, albo też to na co patrzę, jest tylko złudnem widmem wyobraźni. Dotąd wierzyłem w istnienie Atlanty, ale teraz zaczynam wątpić...

Bo też takich drzew jak te, nie widziałem na żadnej rycinie, ani o nich w żadnej książce nie czytałem. Łodyga była u wszystkich podwójna, jakby z dwóch oddzielnych części złożona; wyżej nieco drzewo w stosunku dolnych rozmiarów rozszerzało się nadmiernie, co czyniłoby je podobnem do kaktusa, gdyby nie korona składająca się z liści palmy wachlarzowatej i nie kwiat takiego kształtu, o jakim chyba żaden botanik nie słyszał. Kielich składał się z dwóch liści tejże palmy, niby z dwóch części oddzielnych, a ze środka jego wystrzelał wspinały srebrzysty pióropusz.

W dzieciństwie mojem, lubiłem bardzo, gdy mateczka grała balladę Schuberta do słów Goethego, pod tytułem: „Król olch” i pamiętam że szczególnie zajmował mnie rysunek na okładce nut: wpatrywałem się w niego całemi godzinami. Przedstawiał on tego króla fantastycznego i jego orszak w postaci drzew olbrzymich, a wszystkie drzewa miały ludzkie twarze. Niekroć potem zdarzyło mi się jechać przez las, upatrywałem sędziwego króla olch z długą białą brodą, choć włosy ze strachu jeżyły mi się na głowie, bo zdawało mi się że go widzę i że wyciąga ku mnie długie konary gałęzi zamiast rąk.

Stałem jak skamieniały i patrzyłem nie mając siły się poruszyć, ale wkrótce siłą woli otrząsałem się z wrażenia wywołanego wspomnieniem ballady.

— Jestem mężczyzną — mówiłem do siebie — jeżeli się będę bał, powiedzą że jestem z kraju, gdzie się rodzą tchórze... Naprzód!

Postąpiłem kilkanaście kroków i przemówiłem do jednego drzewa po łacinie, pytając o zegar Flory — i o dziwy! drzewo odpowiedziało, co więcej, wyciągnęło mi gałąź, ale rękę, rękę ludzką, ku środkowi dziedzińca, tam mi go każąc szukać. Wówczas rozśmiałem się głośno z moich dziecinnych

przypuszczeń: To co brałem z daleka za drzewa, to byli ludzie: ciemnozielone mundury gwardyi wprowadziły mnie w błąd. Podwójna łodyga drzewa tak wiele dająca mi do myślenia, to były poprostu nogi gwardzystów, przybrane w barwę zbliżoną do barwy kory. Liście palmowe stanowiące koronę, był to wspaniały strój koło szyi naśladujący do złudzenia wachlarze palmy, z których dwa leżały niby epolety na ramionach, a jeden z tyłu był lekko, jakby kołnier lub peleryna, podniesiony. To zaś, co wzięłem za kwiat osobliwej budowy, było hełmem, którego dwa boczne skrzydła podniesione, miały także kształt dwóch liści palmowych, wyżej obróconych do góry, w pióropuszu zaś do hełmu przymocowanym, poznałem trawy pampasowe *Gynerium argenteum*, dobrze mi znane, bo w Dębowej Woli przed frontem dworu, na środku trawnika znajdował się krzak takiej trawy, używanej także, jak słyszałem, dla swjej ozdoby, do bukietów, zwanych bukietami Makarta. Pióra te jedwabiste wyglądały wspaniale. Wyobrazić sobie królewicza Zielonkę w otoczeniu gwardyi, wpośród żywego lasu, który na jego rozkaz rusza się, chodzą i mówi jak w bajce czarodziejskiej, gdy do drzewa a nawet kamienie rozmawiały z ludźmi, a góry spacerowały po świecie, skoro się któregoś na jednym miejscu naprzykrzyło siedzieć. Jaki to piękny widok być musi! Prawdziwy król olch! Wyobrazić sobie tę gwardyę siadającą na konie, idącą do ataku i przestrach nieprzyjaciela na widok góry zieloności zbliżającej się ku niemu. A jak łatwo takiemu wojsku stać się niewidzialnem w czasie wojny! W prawdziwym lesie nikt go nie znajdzie, a na równinie nikt go szukać nie będzie, chyba jeżeli kto pozorem, tak jak ja w błąd wprowadzony, zechce pod cieniem jego odpocząć. A wtedy biada nieprzyjacielowi szukającemu w takim lesie schronienia! Co za wybórny pomysł! Dziwię się tylko, że nie wpadli na niego dawniej Grecy lub Rzymianie.

Żołnierze gwardyi stali z gołemi mieczami, ale musiało to być więcej dla parady, niż z potrzeby, bo na ostrzu każdego miecza, biała róża była zatknięta. W dawnych, bardzo dawnych czasach, gałązka oliwna bywała znamię pokoju — i trudno, prawie niepodobna łączyć obrazu kwiatów z obrazem mordu. Gdzie są kwiaty, tam powinna być miłość, zgoda i wesele, hymny dziękczynne i pieśni pokoju, bo tęcze ich barwy przypominają na ziemi tęczę, której łuk od czasu do czasu kładzie Pan na niebiosach, dla przypomnienia ziemi swego z nią przymierza. Jakież wreszcie przeciwnik na widok pułku białych róż mierzających sercem kwiatu w serce nieprzyjaciela, zamiast: „ognia”! nie zakomenderowałby: „wody”!

Zacząłem we wskazanym mi przez żołnierza kierunku szukać na środku dziedzińca owego zegara Flory, ale go nie znalazłem; zobaczyłem tylko kłab, a raczej zestawnik z różnych roślin polnych i ogrodowych, rzadkich i pospolitych, cieplarnianych i łąkowych. Zdziwiony trochę taką mieszaniną, zacząłem się w niej uważniej rozpatrywać. Doniczki były tak ustawione, że każdy gatunek tworzył liczbę rzymską, a wszystkie razem regularne koło. Liczb było dwanaście, a tło pomiędzy niemi, inne znów wypełniały kwiaty; część była rozkwitłych, ale większość miała kielichy kwiatów pozamykane. Stałem przez chwilę przypatrując się temu kłabowi i dziwiąc się smakowi ogrodnika, któremu widocznie brakło już pomysłów do rysunku, skoro zapożyczył ich aż z arytmetyki. A że w tem nie było nic szczególnie piękniejszego, więc zobaczywszy już wszystko, jak mi się zdawało, zacząłem znowu upatrywać owego zegara; ale ani w bliższej ani w dalszej odległości, nie podobnego nie dostrzegłem, bo przecież owego oryginalnego, i niezbyt pięknego konceptu ogrodnika, za zegar uważać nie mogłem. Wyobrażałem sobie, że musi się on mieścić na którejś z pałacowych ścian lub wieżyczek, albo w oddzielnym kiosku, a żołnierz wskazujący mi ten kłab, widocznie zapytania mego nie rozumiał.

Gdy tak rozmyślałem, na środek kłabu padł długi cień. Odwróciłem się i zobaczyłem przy sobie młodego dorodnego mężczyznę, którego mundur gwardyi tem się tylko różnił od innych, że był z delikatniejszego sporządzony materiału, a jedwabisty pióropusz powiewający u hełmu, wpadał w przesli-

czny odcień blado-różowy. Domyśliłem się że mam przed sobą oficera *Astragalusa*, o którym w liście wspomniał mi hrabia *Lilium Martagon*. Skłoniliśmy się sobie wzajemnie, a on zgadując snąc że nie rozumiem po atlantyjsku, przemówił do mnie wszechświatowym językiem botaniki, to jest po łacinie. W szkołach uważano mnie za biegłego łacinnika, z powodu przykładania się do tego języka; ale co innego jest deklamować wzniosłe strofy klasyków, a co innego używać języka w mowie potocznej. To też jakaś okropnie i namęczyłem wykrztusiwszy nareszcie frazes. Oficer wysłuchał mój łaciny z taką powagą, jakby słyszał conajmniej samego Cyncerona, ale natychmiast zmienił łacinę na język francuzki. Zaczął od tego że mnie nazwał ekscelencyą, ale na moję prośbę zaniechał tego tytułu.

— Czego pan szukasz? — spytał uprzejmie.

— Zegara Flory — odpowiedziałem.

— Jesteś pan przy nim.

— Jakto! gdzie? nie widzę go. Chyba ten zegar widoczny dla wszystkich, dla mnie jednego jest niewidzialnym.

— Nie widzisz pan tych kwiatów?

— Więc to nazywacie zegarem?

— Jakiż pan chcesz żeby był zegar w królestwie roślin?

Kwiatowy jest zdaje się najwłaściwszy.

Spojrzałem na niego ze zdumieniem.

— Ależ to jest tylko taka sobie zabawka, mająca kształt tarczy zegarowej, zegar który nie idzie, a ja się pytam o zegar prawdziwy!

— To jest zegar prawdziwy, wskazujący czas bardzo dokładnie — odrzekł z powagą — nie jest on bynajmniej konceptem ogrodnika dla zabawy patrzących, ale pomysłem znakomitego botanika szwedzkiego, Linneusza. Ułożył on listę roślin wedle godzin, w których kwiaty ich rozwijają się i nazwał ją „zegarem Flory”. Czy widzisz pan te białe pączki otwierające się w tej chwili?

— Czy te, co na liściach mają pęcherzyki wodą wypełnione i błyszczące jak brylki lodu?

— Tak, to jest przypołudnik kryształkowy, roślina pochodzenia afrykańskiego, hodowana jednak często w Europie: wskazuje ona w tej chwili, że godzina dziesiąta się zbliża; a gdy te kwiatki ścielące się po ziemi i do różyczek polnych podobne, rozwijają się, będzie to znak, że godzina, w której pan masz się stawić przed obliczem monarchy, nadeszła, bo regularnie otwierają się o jedenastą. Jestto roślina bardzo pospolita w ogrodach, portulaca.

Zdziwienie moje wzrastało.

— Ależ — odezwałem się — życie niektórych kwiatów, jak posłonki, lny, wszystkie bardzo jest krótkie, bo trwa kilka lub kilkanaście godzin zaledwie! Na nic się więc nie zdało uważać na godzinę ich kwitnienia.

— To też takich nie bierze się wcale do zegara Flory, ale kwiaty które po kilka lub kilkanaście dni żyjąc, codziennie o tej samej godzinie otwierają się lub zamykają. Ze zaś w państwie królewicza Zielonki, kwiatów przeróżnych nie brakuje, przeto ogrodnicy czynią ciągle nad niemi sprostowanie, ustawicznie zastępują jedne drugimi, i tym sposobem tarcza zegara Flory zawsze jest w porządku. Rzecz prosta że zegar taki nie może we wszystkich krajach jednakowo funkcjonować, bo pory kwitnienia roślin różnią się, stosownie do położenia geograficznego krajów i do pór roku jednego i tego samego kraju. Zegar Flory Linneusza w Upsali w Szwecyi, spóźnia się w porównaniu z zegarem de Candolle'a w Paryżu.

— Zadziwiająca, cudowna rzecz! — zawołałem. — Wiedziałem że ludzie zaprzęgają do pracy wiatry, wodę, elektryczność, używając ich do poruszania machin przy fabrykach — ale żeby kazali pracować roślinom, tego nie przypuszczałem. Zdawało mi się, że pożytki rozliczne jakie ciągną z roślin, powinny im wystarczyć, a kwiaty są głównie po to żeby cieszyły ludzi swoim widokiem i zapachem.

— Umieją one także wskazywać deszcz i pogodę — mówił dalej uśmiechając się *Astragalus*. — Chodź pan, skoro ci zegar zainteresował, pokażę ci jeszcze coś równie ciekawego:

Hygrometr Flory. Jest pewna liczba kwiatów, na których rozwijanie się wpływa stan atmosfery i które królewicz nazwał dla tego „meteorycznymi”. Mlecz syberyjski czyli modrzyk, *Sonchus sibiricus*, nie zamyka kwiatów, gdy nazajutrz słońce ma nastąpić. Wiele cykoryowatych nie otwiera się wcale gdy deszcz ma padać. Deszczownik nogietkowaty, *Dimorphotheca pluvialis*, stula swe kwiaty ilekroć na słońce się zanoszą, lecz ma je otwarte, gdy nagle, gwałtowna ulewa nastąpi, jak gdyby został przez nią niespodzianie zaskoczony.

Mówiąc to rzucił okiem w stronę pawilonu posłów zagranicznych, w którym mnie pomieszczono i rzekł:

— Gdyby nie to, że muszę czekać tu na poselstwo indyjskie, pokazałbym panu kalendarz Flory znajdujący się z tamtej strony pałacu, ale nie mogę się ztąd oddalić.

— Kalendarz! — powtórzyłem dziwiąc się coraz więcej temu wszystkiemu co słyszałem.

— Tak, ale możesz go pan później zobaczyć: bardzo dokładny kalendarz, obmyślany i ułożony także przez Linneusza, stosownie do pory kwitnienia różnych roślin. Na ten wzór, królewicz ułożył podobny kalendarz zastosowany do klimatu Atlanty, z kwiatów kolejno następujących po sobie.

— Chyba tylko na lato — zauważyłem — w późnej jesieni i w zimie, kalendarz musi być nieczynny, o tyle przynajmniej, o ile się składa z kwiatów gruntowych. Chyba że królewicz zastępuje go kalendarzem z roślin cieplarnianych.

— Kalendarz gruntowy nie próżnuje nigdy — odrzekł *Astragalus*: — są rośliny kwitnące w późnej jesieni i w zimie. Mokrzyca na przykład *Stellaria media*, kwitnie od kwietnia do listopada, jak również i *Tasznik*, *Capsella bursa pastoris*, a Ciemiernik zimowy, *Helleborus hymecalis*, okryty jest kwiatem przez całą zimę. Kto posiada dokładną znajomość kwitnienia roślin, ten z łatwością przez cały rok może mieć kwiaty.

Przerwał, bo z pawilonu posłów wychodzili właśnie Indianie w białych zawojach, od których odbijały brązowe ich twarze. Spoglądali dumnie, a ręce ich spoczywały na rękojeściach szabel. Na przodzie kroczył poważnie poseł, a bogaty jego kaftan błyszczał jak słońce od dyamentów, szmaragdów i rubinów. Czterech ludzi niosło za nim na noszach, wschodnią makatą okrytych jakieś drzewo posadzone w złoty wazon, ozdobiony drogiemi kamieniami. *Astragalus* przeprosił mię, że mnie musi na chwilę samego zostawić, i pośpieszywszy naprzeciw Indian, powiodł ich ku ogrodowi wiszącym, których wspaniałe arkady stąd było widać.

— Czyżby tam znajdowała się sala tronowa, a nie tutaj w pałacu? — myślałem — i zdjęty ciekawością, szedłem powoli w ślad za orszakami.

W *Niezdolnych królewiczach* czytałem, że ogrody wiszące królewicza Zielonki „urządzone były wysoko ponad ziemią na olbrzymich rusztowaniach z desek, podpartych drewnianymi słupami” — i tak być musiał dopóki trwała niezgoda, a Zielonko musiał obywać się bez cegły i kamienia, jako należącego do państwa mineralnego — ale ja już ujrzałem zamiast nietrwałej budowy z drzewa, wspaniałe granitowe sklepienie na olbrzymich wsparte arkadach, między rzędami których, jak między drzewami lasu kamiennego, można było dojść nad brzeg morza. Jeszcze nie ochłonałem ze zdziwienia na ten widok, gdy zobaczyłem przepyszne marmurowe schody, piękną po bokach ozdobioną balustradą, a tak szerokie, że mógł na nie konno szóstkami wjechać cały pułk wojska. Morze nie pociągało mnie w tej chwili; ciekawość przypatrzenia się ogrodom wiszącym, o których myślałem tyle razy i które tak bardzo widzieć pragnąłem, powiodła mnie pod górę. Wstąpiłem na schody myśląc z przyjemnością, że to kolosalne arcydzieło sztuki budowlanej stworzyła miłość i zgoda braterska, a także głębsza znajomość praw przyrody, której trzech królestw bezkarnie rozłączać nikt nie może.

## Jan Kanty Gregorowicz.

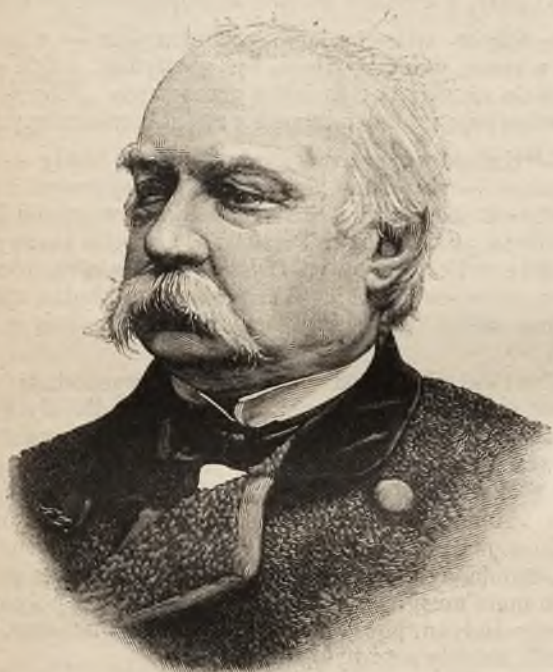
## W ŻŁOTEJ KLATCE

Opowiadanie z prawdziwego zdarzenia.

(Dalszy ciąg).

Dnia 16-go Września zakończył życie Jan Kanty Gregorowicz, pod pseudonimem Janka z Bielca znany jako pisarz ludowy, a od lat blisko 30-tu zrazu współpracownik, potem redaktor „Przyjaciela Dzieci”.

Urodzony w r. 1818 z ojca małorusina, w młodzieńczych latach zamieszkał na wsi, miał sposobność zbliżyć się do ludu, ukochać go, wniknąć w jego życie, które też poznał doskonale i odtwarzać umiał tak wiernie, że pierwszy utwór jego pióra w tym duchu napisany, a jeszcze w r. 1850 drukowany w „Bibliotece Warszawskiej” zwrócił ogólną uwagę na początkującego autora. W dziennikach ówczesnych pomieszczał on wiele prac, bądź-to powieści, bądź rozpraw treści poważniejszej, był pierwszym redaktorem pisma ludowego „Kmiotek”, przez pewien czas redagował „Zorzę”, „Gazetę Rolniczą”



Jan Kanty Gregorowicz.

przez lat kilka prowadził „Gazetę Codzienną” aż wreszcie podjąwszy się wydawnictwa „Tygodnika Mód” oraz „Przyjaciela Dzieci” do końca życia pozostał ich redaktorem.

W ostatnich latach zajęty pracą redaktorską niewiele się już poświęcał większym utworom literackim, ale dawniejsze jego powieści dla ludu i dzieci, techną prostotą i serdecznością zapewniają Jankowi z Bielca dobre imię w szeregu naszych pisarzy. Długoletnia usilna praca literacka zapewniła mu obok niezależności materyjalnej, co w naszych stosunkach dość rzadkiem jest zjawiskiem, uznanie u braci po piórze, którzy lat temu parę uroczystie obchodzić chcieli jego jubileusz pisarski. Wyprosił się od tej owacyi, a skromność takowa jest pięknym rysem charakteru tak autora, jak człowieka, który do końca życia wytrwał w pracy i „po czciwej sprawie” służyć chciał piórem, jak rozumiał. Lud nasz miał w nim gorliwego o swoje dobro miłośnika, dzieci szczerze kochającego je przyjaciela, rodzina opiekuna serdecznego, z uczuciem też prawdziwego żalu żegnali go koledzy w literackim zawodzie, oraz znajomi i przyjaciele, licznie nad grobem jego zbrani.

— Rozbieraj się! — krzyknął po niemiecku, ostrym głosem na niego, który zbiegłszy przed chwilą z areny, nie miał czasu na zdjęcie z siebie białego ubranka. Mały nie ruszył się z miejsca, gdzie jak wryty stał oczekując jeszcze dalszych poleczeń, skoro w powietrzu rozległo się smagnięcie eleganckiej szpicruty. Było to dobitne podkreślenie słów: Możesz iść! na jego plecach. Nie pisał nawet; uczynił wojskowy zwrót ku garderobie, gdzie zniknął. W chwilę potem dyrektor wraz ze swemi kołmi wyszedł na arenę, gdzie go powitano gradem oklasków.

Niedługo czekałem na wczoraj umówionem miejscu przyjścia mego małego przyjaciela. Zrobił mi tylko niespodziankę, bo kiedy ja oczekiwałem go od strony garderoby, ten ze zwinnością akrobata zawisł mi nad głową w otworze, wiódącym na stryszek z sianem dla koni, zeskoczył i znalazł się obok mnie.

— Csss! — zawołał, kładąc palec na ustach, kiedy otworzyłem już usta, chcąc głośno wyrazić zdziwienie. — Dobry wieczór panu! przychodzę tedy żeby nie zauważono, że często tu bywam. Teraz będą myśleli, że śpię w garderobie, skąd po sznurku wdrapałem się na strych i tamtędy przyszedłem. Myślałem, że już nie trafię do tego otworu z pomiędzy stogów siana, ale trafiłem!..

Usiadł przy mnie i jakby dla pewności, że mu nie ucieknę, wziął w swe dłonie moją rękę.

— Widziałem, jak dyrektor powoływał cię do siebie, musiał być w złym humorze, nieprawdaż? zapytałem.

— Dlaczego? O przeciwnie! zawsze kiedy sam ma przedstawiać swoje konie jest w humorze najlepszym.

— Za cóż cię więc uderzył?

Machnął ręką lekceważąco i uśmiechnął się.

— O panie! co to znaczy takie uderzenie cienką spirytą? Zawsze jak coś mówi, musi potem uderzyć tem, co trzymał w ręku. Ale czasami ma bat, to boli daleko więcej...

Mówiliśmy jeszcze o różnych rzeczach, aż mu przypomniałem wczorajszą obietnicę.

— Prawda! przyrzekłem panu opowiedzieć moją historię. Mój Boże, nie opowiadałem jej jeszcze nikomu, bo nikt nie był jęj ciekawy. Zresztą to nie wesołego, ale jeżeli pan chce... — Łzy stanęły mu w oczach, twarzyczka zadrgała nerwowo wzruszeniem, ale ją obtarł szybko aksamitnym rękawem wytartej kurteczki, która kiedyś musiała mu służyć do występów, a uspokoiwszy się nieco tak zaczął półgłosem:

— „Najpierw, niech pan nie wierzy że mam dopiero ośm lat, tak jak to zawsze drukują i „on” mówi, wcale nie. Miałem siódmy rok, jak mnie zabrali z domu, rok chodziłem po świecie z trupą kuglarzy, a piąty rok jak jestem tutaj. Mam już dwanaście lat, tylko, że jestem mały, drobny i nie wyglądam na tyle, a „on” chciałby żebym całe życie takim pozostał bo to więcej zadziwia publiczność.

Jest już więc sześć lat, jak byłem w domu i miałem rodziców, swoich własnych rodziców! — powtórzył z odbłaśkiem radości patrząc mi w oczy. — A pamiętam wszystko, jakby to było wczoraj... Byłem wtedy taki szczęśliwy!... Mama, moja ukochana dobra mateczka nazywała mnie „swoim Jurkiem” i nieraz, jak zasypiałem w łóżeczku obok niej, opowiadała mi do snu o pięknym kraju i jego bohaterach, mówiąc zawsze przytem: Rośnij mój synku, rośnij i bądź takim, jak byli oni!..

Mieszkaliśmy na wsi i musieliśmy być bogatymi, bo pamiętam ślicznie było tam u nas i zawsze pełno gości. Tatusz kupił mi ślicznego konika i uczył na nim jeździć, a ja bardzo to lubiłem i nauczyłem się tak prędko, że jak tylko dużo gości przyjechało, wsadzano mnie na kucyka i popisywałem się

w około gazonu przed gankiem. Rodzice cieszyli się moim męstwem, a ja, który nie bałem się nigdy niczego, nauczyłem się sam różnych sztuk na gimnastyce i moim kucyku, przyrzekając w duszy, że muszę kiedyś zostać takim bohaterem, o jakich mateczka opowiadała mi nieraz tyle, tyle pięknych rzeczy.

Tak mi szczęśliwie czas upływał; aż pewnego dnia mama zachorowała nagle. Musiała być bardzo chora, bo przy-

Rozpłakałem się głośno na jej widok, więc wynieśli mnie z pokoju. W parę dni potem byłem na wsi u mej babci.

Nie było mi tam gorzej jak w domu, bo babunia kochała mnie i pieściła, tylko tęskniłem za mamą. I tam miałem swego kucyka i gimnastykę, myślałem więc często o tem co mi powiedziała przy pożegnaniu i uczyłem się być mężczyzną.

Od tatusia przychodzili czasami listy do babci, która



Przeciął mu więzy prawej ręki a potem...

jeździło wielu doktorów, a tatus, biorąc mnie nieraz na kolana, mówił mi, bym prosił za nią Boży i sam płakał przytem. Nie pozwalano mi pójść do jej pokoju, aż dopiero jednego dnia, skoro tatus powiedział mi, że mnie odeśle do babci, bo sam zabiera mamę za granicę, pozwolono mi iść ją pożegnać. Leżała na łóżku bardzo blada i kiedy podszedłem pocałować ją w rękę, schyliła się do mego ucha i bardzo cicho powiedziała:

— Do widzenia Jerzy, nie zapominaj twej mamy i.. bądź mężczyzną w życiu, synku!..

mi mówiła co w nich było napisano o mateczce, ale kiedy raz zapytałem jej co znaczy ta czarna obwódka na ostatnim z listów, babunia wybuchła płaczem.

— Bądź odważnym Jurku i znieś cierpliwie boleść, jaką ci Bóg zsyła — rzekła tuląc mnie do siebie — zostałeś sierotą, nie masz już matki!

Nie zrozumiałem jeszcze dobrze tej bolesnej nowiny, tembardziej, iż zmiany, zaszłe w domu, nie dały mi się dłużej nad nią zastanawiać. Babunia musiała wyjechać do tatusia, zostawiając mnie pod opieką starej służby, a na drugi dzień po

jej wyjeździe zajęły mnie całkowicie przedstawienia wędrownych kuglarzy, których trupa przybyła gdzieś z daleka, rozłożyła się taborem pod sztachetami ogrodu.

Byli to jak mówiono Cyganie, to przecież mnie nie odstraszało wcale od przyglądania im się całemi godzinami przez sztachety i podziwiania sztuk jakie pokazywało z psami troje dzieci, dwie dziewczynki i chłopiec. Pamiętam, że dziewczynki, tańczące z bębenkami na rozrzuconych po ziemi kulach drewnianych, podobały mi się bardzo, ale ujrawszy chłopca, pokazującego łamane sztuki z jedną z nich, powiedziałem, że ja umiem bez porównania ładniejsze i na dowód zacząłem się popisować przed starym Cyganem na blisko stojącej gminastyce. To dało początek rozmowie. Potem pokazałem im jeszcze moje sztuki na kucu; cała rodzina wybiegła podziwiać mnie i chwalić, z czego naturalnie niezmiernie byłem dumny. Zapraszali mnie do swej budy, obiecując pokazać wszystkie zabawki, ale bałem się by kto nie zobaczył, bo niewolno mi było wyjść z ogrodu. Wieczorem dopiero wymknąłem się z domu i kiedy nikt nie zwracał uwagi wybiegłem za furtkę. Dziewczynki wzięwszy za ręce zaprowadziły mnie pod płócienny namiot i długo pokazywały różne ubranka, świecące kółka i bębenki, których tam miały mnóstwo. To zabrało nam tyle czasu, że gdy pomyślałem o powrocie do domu, była już noc. Przełękłem się trochę, ale wnet uspokoiłem się słowami i przysmakami, a stary Cygan zawoławszy swej żony czy też matki pomógł z nią czas jakiś, a potem zwrócił się do mnie.

— Nie bój się nie paniezu — ona cię odprowadzi do domu tylko inną drogą, żeby kto czasem nie zobaczył, a ty nie nie mów i idź z nią cicho...

Nie przyszło mi nawet na myśl, że to był podstęp. Stara kobieta ujęła mnie silnie za rękę i poprowadziła nieznanymi drogami. Chciałem się zapytać gdzie idziemy tak długo, ale bałem się, by, jak mówił kuglarz, kto nie usłyszał. Szliśmy ciągle i w końcu znaleźliśmy się w lesie. Nogi już zaczęły mnie boleć, zapomniałem więc o nakazie i zacząłem wołać, że chcę do domu, do którego ta droga wcale nie prowadzi, bo nie potrzeba było tylko przejść furtkę, podwórze i ogród. Płacz również nie nie pomógł; wzięła mnie na rękę, strach, szum lasu i ciemności utuliły mnie do snu. Skoro rano otworzyłem oczy byliśmy w głębi zarośli, gdzie pozostaliśmy do wieczora. Przed nocą dopiero nadjechała buda, a w niej te same dzieci i stary Cygan, którzy byli pod naszym ogrodem. Stary pogłodził mnie po głowie, dał cukierków i nie zważając na mój płacz, zwrócił się do kobiety.

— „Cóż — zapytała ona — bardzo tam szukają?”

— „O, szukają! — odpowiedział — przetrzęśli mi cały wóz, ale nic nie znaleźli i jeszcze przepaszali za posądzenie. Wrzawa tam straszna. Teraz szukają w stawie, myślą że utonął, poczekałem do południa i ruszyłem w las”.

Dziwnym sposobem domyśliłem się, że mowa była o mnie, i że zostałem poprostu wykradzionym z domu, dokąd nie miałem wrócić już nigdy. Chciałem uciekać, darmo! pilnowali mnie dobrze, a przytem za parę dni przeszliśmy granicę kraju, co poznałem po tem, że mówiono tam innym językiem.

Tak więc drogo opłacić musiałem nieposłuszeństwo!

Odtąd zacząłem wieść inne życie. Codziennie stary kuglarz uczył mnie nowych sztuk. Wyłamywał mi kości bez miłosierdzia, tak, że po każdej takiej lekcji leżałem na wozie nie mogąc ruszyć ani ręką ani nogą, aż po kilku miesiącach dostałem po jego dzieciach stare trykoty i zacząłem wraz z nimi występować w przedstawieniach, dawanych po wsiach i małych miasteczkach. Zwolna przywykłem do tego życia tułaczego i codziennego wyłamywania kości. Było mi może nawet lepiej, jak moim małym towarzyszom, których nieraz, gdy się nie mogli czego nauczyć, stary bił kijem. Mnie wszystko szło jakoś łatwo; a może pomagała mi w tem owa odwaga, do której zachęcała mnie dawniej moja mateczka. Mój Boże! już nigdy jej nie zobaczę, myślałem sobie, ani ojca, ani babci, ani domu... nigdy... bo całe życie będę się tułał i pokazywać sztuki... I coraz droższymi stawały się dla mnie te wspomnienia z domu, coraz obojętniej patrzyłem na

swoje życie, bo mi już wszystko jedno, skacząc po linie lub na wysoko zawieszonym trapezie, czy spadnę i zabiję się, czy żyć dalej tak będę. Coraz bardziej cierpiałem i coraz więcej bolało mnie ... serce.

Raz, było to jakoś rok już od czasu kiedy rozpocząłem to nowe życie, gdy stary Cygan, powróciwszy zły jakiś z pobliskiego miasteczka, wszedł pod budę i zaczął z cicha, lecz wzburzonym głosem prowadzić z kobietą rozmowę. Ciekawość mnie zdjęła, podsunąłem się cicho pod wóz i wysłuchiwałem co mówili.

— Zle z nami, policya go poszukuje — szeptał, ukazując oczyma mój tłomoczek wiszący na kółku — Trzeba go schować lub wywieźć, jednym słowem pozbyć się jak najprędzej.

— Wiedziałam, że tak będzie, — odparła stara, — najlepiej wywieźć, ale gdzie?

— O wiem już gdzie, nawet zrobimy jeszcze na nim interes.

Dalej już nie mogłem słyszeć, bo zniżyli głos bardziej. W głowie szumiało mi od samych myśli że jeszcze mógłbym powrócić do domu, gdyby mnie ta policya, której się obawiali, odnalazła. Chciałem natychmiast biedz, uciekać, ale gdzie?... nie wiedziałem!.. Tego samego dnia jeszcze przebrano mnie w chłopskie ubranie, jakie stary kupił we wsi, ostrzyżono krótko włosy i kuglarz zabrawszy ze sobą ruszył w drogę. Długo szliśmy piechotą, potem jechali koleją, której wpiertw nie widziałem nigdy w życiu, aż wreszcie zobaczyłem ogromne jakieś miasto i rzekę, wielką jak morze. Był to Hamburg, jak się potem dowiedziałem. Tam zaprowadził mnie do tego oto cyrku, gdzie dotąd jestem i po wielu próbach bardzo ciężkich i pokazaniu wszystkiego, co umiałem, przed tym dyrektorem, którego pan tu widział, zostałem mu sprzedany za dwieście talarów. Dwieście talarów! Jak dziś pamiętam; stary kuglarz z uśmiechem je przeliczył, wsunął do kieszeni, poglądził mnie na pożegnanie ostrą swą dłonią po twarzy, i jak wyszedł, nie spotkałem go nigdy więcej.

(d. c. n.)

## BOCIAN-OJCIEC.

— Nad siodem z wieczora i rano  
Chłodnawy wiaterek powiewa,  
Z pół wszystko już prawie zebrano  
Już spadać zaczyna liść z drzewa.

O dziatki wy moje, bociany,  
Nad chatą wieśniaczą zjawione,  
Już zżęte opuścim wnet łany,  
W cieplejszą podążyc nam stronę.

Słyszycie jak wróble świegoczą,  
Chichocząc z naszego odlotu?...  
Z słabości to niby chichoczą  
I z podróznego kłopotu;

Że niby my siły nie mamy  
Pozostać jak one tu w śniegu,  
I dworskiej pilnując się bramy  
Mróz przetrwać w dorocznym przebiegu.

Bocianki, wy wróblom dowiedzcie,  
Że wiemy my po co lecimy;  
Gdy wrócim, wy wszystko powiedzcie  
Co kędy dobrego widzimy:

Niech wiedzą, że po to lecimy  
Daleko za morza i góry,  
By zbierać plon nawet wśród zimy,  
Plon, nawet wśród zimy ponurój!

# W INDYACH.

(Dalszy ciąg).

Dopiero po kilku następnych sekundach głębokiego spokoju dowodzących, że Jerzy nie został spostrzeżony, szepnięto w łodziach:

— Dzielny chłopiec!... uda mu się!

Tymczasem Jerzy w zwykłym odzieniu majtków leżał jak długi tuż przy parapecie, wewnątrz okrętu na pomoście, nieruchomy, udając śpiącego. Nie leżał długo, wkrótce usłyszał zbliżające się dzikie okrzyki i ujrzał orszak widocznie na wpół tylko przytomny. Indyjanie prowadzili na pokład okrętu gromadę jeńców, wśród których znajdował się Wiliam, pokrepowali ich przywiązując do masztów, niektórych nie wiedząc czemu prowadzili od razu na dół. Ale jakkolwiek Wiliam niepodobny był do siebie z dawniejszych czasów, Jerzy widział go dokładnie, przywiązanego do masztu w pochylonej znękaną postawie, i usłyszał zanucaną i po chwili powtórzoną zwrotkę ludowej angielskiej piosenki:

Wyszła poza dom sierota  
Szukając swęj matki...

— Och... aż nazbyt łatwo byłoby ci znaleźć tę matkę, która jest w niebie — pomruknął Jerzy — ale wprzód musisz ty jeszcze odnaleźć ojca i braci... — I widząc, że zbójcy umieściwszy bezpiecznie towar sprzedany, odeszli napowrót wesoło ku ładowi, podpełził na czworakach ku bratu, rozplaszczony jak żaba. Któż zliczy, ile razy zatrzymywał się za najnniejszym szelestem, zanim stanąwszy u stóp Wiliama, nieznaczny, powolnym, kilkakrotnym ruchem, najprzód przeciął mu więzy prawej ręki, potem włożył w nią ostry jak brzytwa nóż. To było dosyć. Wiliam uprzedzony widocznie, przyjął to wszystko z zimną krwią; nożem włożonym w prawą rękę dokończył przecięcia jakiegoś węzła lewej, a potem zwolna osunął się jakby osłabły i rozciągnął na ziemi. Oczywiście, jeżeli wśród ciemności i mnóstwa okrętowych rupieci i kilkunastu niewolników, ktokolwiek patrzył na te ruchy, to wziął je za konieczne skutki znużenia i ani pomyślał o tem więcej. Tymczasem dwaj bracia pełzali jeden za drugim przez pokład, aż przesadziwszy w horyzontalnej pozycji parapet, zsunęli się po łańcuchach i rzeźbach do oczekujących ich łodzi, co było w istocie daleko łatwiejszą rzeczą niż wejście na okręt.

— Odbijaj!... — szepnął kapitan, i obie łodzie pomknęły na pełne morze wysuwając się z rangorskiej zatoki. A jednak, pomimo całej ostrożności i pomimo skutków wina spotęgowanego sen-wodą, coś tam spostrzeżono na Sumatrze, bo nagle stał się hałas piekielny, i prawie natychmiast, chyżej niżby się można spodziewać, kilka kul z hukiem potężnym pluśnięto tuż koło uciekających łodzi:

— Do brzegu!... — zabrzmiął w tej chwili głos jakiś przez tubę, i marynarze instynktowo rozumiejąc własny interes, w kilka minut przybili do brzegu, tuż poza skałami otaczającymi rangorską zatokę, i podczas gdy upatrywano ich na morzu i ścigano, wszyscy wyskoczyli w wodę, dążąc do łądu. Osłabiony więzami Wiliam zachwiał się w tej chwili i byłby pogrążył się odrazu, gdyby z obu stron nie podtrzymały go, jeżeli niezbyt silne, to za to wysileniem nieznużone ramiona:

— Edward!... Franek!... — szepnął Wiliam zdziwiony, wspierając się na swych wybawcach. Robert ujął go oburącz, gdy nie mógł wyskoczyć na brzeg i wnet chwycony silnie pod ramiona, uniesiony został następnie gwałtownym ruchem, dopóki nie schroniono się w zaulku skalistym, nad zatoką zajętą przez Almawię. Zmordowany fizycznie i moralnie, wyczerpany Wiliam upadł w objęcia ojca i został w nich nieruchomy, trzeba było obydwoh cucić i trzeźwić...

## III.

— A Klara? Gdzie Klara?

— Czy nie wiesz co się stało z Klarą? — zapytywano

gdy tylko mógł mówić, podając mu jednocześnie napój i posiłek i zmuszając pieścizotami do ich użycia. Ale Wiliam wiedział tylko, że razem zamknięci przebywali czas jakiś w ciemnej piwnicy, gdzie nawet dnia od nocy odróżnić nie byli w stanie. Wiliam utrzymywał zrazu siły Klary nadzieją, że wydrapie otwór w ścianie, którym uciekną. Próżno jednak drapał spletanymi silnie rękami, pokrwawił ręce, pozdierał paznogie, ściana jakkolwiek z ziemi i kamieniami nią spętanych tylko zbudowana, nie ustępowała, albo raczej ustępowała bardzo powoli. Tymczasem za każdym dotknięciem rąk Klary, czując pożerającą ją gorączkę, on sam zwrócił uwagę złoczyńców przynoszących im wodę i pożywienie na stan jej zdrowia.

— Jeżeli nie umieścicie tej pani w lepszych warunkach, straciecie okup, bo go nie doczeka — powiedział.

— Nie ma komu was wykupić, kupić chyba kto się znajdzie — odpowiedziano. I wtedy dopiero poraz pierwszy zrozumieli oboje, że sprzedani być mają. Rozpacz Klary, że niema komu już ich wykupić, odebrała jej resztę sił i nieprzytomną wynieśli ją rozbójnicy z podziemnej lepianki, a Wiliam sam nie wiedział, czy miał się cieszyć, że opuściła okropne to miejsce, czy też rozpaczać, gdy ją unoszono.

Tymczasem bezustannie, wyjawsz chwilę spoczynku, drapiąc ziemię i tracąc o nią swe więzy, Wiliam zużył je i rozdarł a wydarłszy z ziemi małe kamyki, pomagał sobie nimi kopać dalej, siadając koło otworu aby go zasłonić, gdy wchodzono do jego ziemnego więzienia. Wreszcie napotkał w ścianie większy kamień, wzruszył go, wyjął, ujrzał światło, rozszerzył otwór, wysliznął się nim i dzień cały przebył na wolności, może byłby mógł nawet uciec w pierwszej chwili, gdyby myśl o Klarze, nie przykuwała go do miejsca. Chciał koniecznie dowiedzieć się, co się z nią stało. Jednocześnie zbójcy, spostrzegłszy jego ucieczkę, rozpuścili swoje pogonie, którym jak wiadomo nic nie dorówna, gdyż umieją wysledzić białego jakby za pomocą właściwego im jakiegoś zmysłu, węchem nieledwie. Schwyciwszy go na nowo pilnowali już teraz ściślej, nie spuszczaając z oka, a po kłótni i walce jaka wybuchła pomiędzy nimi, zwycięzcy puścili się w drogę do rangorskiej zatoki, pędząc niewolników na sprzedaż.

— Baczność! panowie! wybrzeże przebiegają tłumnie rozbójnicy, Sumatra spiesźnie opuszcza Rangorską zatokę! — zawołał Mahora wpadając zdyszany i poraniony — gdzie jest Wilko? Oby nie dostał się w ich ręce!

— Na pokład parowca, panowie, wchodźcie wszyscy! Nie zareczam za nikogo, kto się spóźni! — wołał kapitan.

— Wilko! Rahib! Gdzie Wilko? Szukać Wilka! — wołali młodzi Anglicy. — Nie możemy odpływać bez Wilka!

— Do łodzi! do łodzi! Na parowiec! Dzicy tropią, już jaskinię! Wilko jest tu! — dał się słyszeć głos Rahiba z wody: płynął z trudnością podtrzymując rannego Wilka, nagły świt zwykły w tych stronach ukazał ich oczom patrzących. Ścigani skoczyli w morze i tędy dążyli do swoich, nie chcąc zdradzić wejścia do jaskini od strony łądu. W jednej chwili młodzi panowie rzucili się w morze na ratunek bezwładnego od ran Wilka.

Dzikie wycia Indyan biegających naokoło skał, poza któremi domyślali się białych, rozlegały się już wyraźnie. Thorn, silnie przyciskając do piersi ramię Wiljama, uprowadził go do łodzi; Mac-Ulm z ciężkiem sercem, myśląc o córce, podtrzymywał z drugiej strony młodego chłopca, który znękany poprzedniemi ranami, wycieńczony podróżą i do reszty wyczerpany nadludzkimi wysiłkami przy ostatecznej ucieczce, bredził w gorączce, wymawiając co chwila imię Klary i wyrzucając sobie, że jej nie umiał wyratować. Wśród gwałtownego acz pozorowego tylko zamieszania, i krzyżujących się ponad hałasem spokojnych a grzmiących rozkazów kapitana, majtkowie pomagali Anglikom i ich służbie dostać się na pokład i wreszcie piękny, zwinny Almawiwa wymknął się z pomiędzy skał na pełne morze w chwili, gdy tłum dzikich z tryumfalnym wyciem wypadł od strony łądu na brzeg zatoki. W mgnieniu oka tryumf zamienił się w uniesienia gniewu, na widok znikającego parowca, którego się tu zastać nie spodziewano, w prze-

konaniu że mają do czynienia jedynie z jakąś bezbronną garstką zbiegów. W bezsilnej złości krwiożercze istoty wypuściły chmurę strzał za znikającym parowcem, na co w odpowiedzi tenże posłał im od niechcenia jeden tylko pocisk armatni, który padając w zbitą gromadę ciał, okrutnie sprawił w nich spustoszenie.

— Kapitanie jak mogłeś!... — z oburzeniem zawołali Anglicy.

— Musiałem — odparł z zimną krwią — niestety, istnieje niekiedy między ludźmi tak niski poziom umysłowy i moralny, że jedynie tylko siła brutalna może na nim czynić wrażenie: gdyby ci nieszczęśliwi nie poczuli dzisiaj co może Almagiva, nie umieliby go przy następnym spotkaniu uszanować.

— A teraz, baczność, dzieciaczki!... oto Chińczyk nikczemny wynurza się w biały dzień w naszych oczach z zatoki. Nie powinien nam ująć tym razem.

— Czyliż nie łatwiej było zejść go jeszcze w zatoce? — spytał Mahora ciekawie.

— Na cóż by to się zdało, generale, wszak wtedy zniszczył bym tylko okręt a łotry uciekliby na ląd w lasy.

— To prawda! Jakże głupi jestem, kapitanie!

— Nic nie szkodzi, zmądrzejesz z wiekiem synku. Dodać pary dzieciaczki! Ho!...

Tak uprzejmie pocieszony Mahora podszedł do swoich panów, rozmawiających o Klarze i usiłujących wmówić w Wiljama nadzieję, której sami nie mieli. Ale Indyanin miał ją istotnie. Słyszał od dzikich że, współplemiennicy ich przywiodą Klarę, już zdrowszą teraz, na wybrzeża rangorskiej zatoki najdalej za kilka dni, słyszał nawet, jak umawiali się z Chińczykiem zawczasu o cenę za pannę Mac-Ulm, gdy on wymawiał im, że nie przywiódłszy jej od razu, narażają go na zbyt wielkie niebezpieczeństwo, przy częstym odwiedzaniu podejrzanych wybrzeży. Stało wreszcie na tem że Klara będzie przechowana przez pewien czas jeszcze w chacie Sihala na skałach, zanim Chińczyk będzie mógł po nią się zgłosić bez zwracania na siebie zbyt uwagi krążących z zamiarem podpatrywania go statków, a w najgorszym razie przysłać tylko łódź z trzema zaufanymi ludźmi, którzy dostawią mu pannę Mac-Ulm związaną, leżącą na dnie, z zawiązanymi ustami i nakrytą drobiem, jakim Sihał pozornie handlował.

— Otóż — mówił Mahora — czyliżby nie udało nam się za jaki tydzień w postaci takich wysłańców Chińczyka, lekką łódką, wybrawszy czas spokojny przybić do rangorskiej zatoki i, wiedząc wszystkie okoliczności jako też umówioną cenę, kupić poprostu pannę Klarę dla Chińczyka niby, a odwieźć ją do krążącego w pobliżu Almagivy?

— Zapominasz że Sihał płynie w tej chwili z nami, nie ma go więc na skałach w chacie i Klara nie będzie mu oddaną do przechowania.

— Tak, ale ci którzy ją prowadzą, nie wiedzą, co tutaj zaszło, przyprowadzą więc pannę Klarę w każdym razie i byle wzięli umówioną zapłatę, gdy zjawimy się w ową chwilę, nie będą z pewnością ociągać się ze sprzedażą.

— Mój ojcie!... a jeżeli Mahora dobrze radzi?

— Mahora zawsze ma słuszość!

— Oby ją miał i na ten raz. Jednakże jeżeli nasz kapitan doprowadzi do skutku zamiary swe względem Chińczyka, zbójcy będą widzieć to z wybrzeża swego, a przykład wystraszy ztąd na jakiś czas przynajmniej innych handlarzy,

to kto wie, czy złoczyńcy nie uwiadomią towarzyszy zawczasu że niema pogo przyprowadzać tu niewolników...

— Och, Ralfie, czemuż usiłujesz odbierać nam nadzieję!...

(d. n.)

### Zagadka homonim.

W postaci owocu, kwiatka lub kamienia,  
Służyć do posiłku mogę lub ozdoby;  
A także brać udział i w dziele zniszczenia,  
Być narzędziem śmierci, zwiastunem żałoby.

### Kwadrat magiczny.

Podane litery w kwadraciku, tak ułożyć, aby odczytać można jeden i ten sam wyraz z góry na dół i z lewej strony do prawej.

|   |   |   |   |
|---|---|---|---|
| a | a | a | a |
| a | a | d | d |
| k | l | m | o |
| o | s | s | w |

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 38 go.

#### Zadania liczbowego:

|    |    |    |    |    |
|----|----|----|----|----|
| 25 | 24 | 8  | 5  | 3  |
| 4  | 10 | 17 | 12 | 22 |
| 6  | 15 | 13 | 11 | 20 |
| 7  | 14 | 9  | 16 | 19 |
| 23 | 2  | 18 | 21 | 1  |

#### Łamigłówki sylabowej:

Samojedy — złota — Anglik — Nakło — Dunaj — Orkady — Rymiec — pelikany — emir — Timbaktu — Oa — fanatyzm — Izraelici.

Szandor Petöfi i Maurycy Jokay.

## SZKOŁA

### Haliny z Leszczyńskich Tokarzewskiej,

SZKOLNA Nr. 8 PRZY ZIELONYM PLACU.

Nagrodzona srebrnym medalem na ostatniej Wystawie, przyjmuje pensyonarki, udziela nauki wszystkich rzemiosł korzystnych dla kobiet. Lekcje malowania, rysunku i modelowania z gliny dają artyści: rzeźbiarz i malarz.

**Sprostowanie.** W Nrze 38 w Łamigłówce sylabowej należy czytać: 2 metal w 2-m przypadku.

**TREŚĆ:** Z wyspy Atlanty, wyczytała przez drobnowidz i przepisała Zofia Urbanowska. — Jan Kanty Gregorowicz (z portretem) — W złotej klatce, opowiadanie z prawdziwego zdarzenia. — Bocian-ojciec, wiersz. — W Indyach (z drzew.). — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek:** Najmilszy podarek p. Cairo (z drzew. — Mysza, wiersz p. Helenę Bojarską. — Bobry p. Maryę Weryho. — Opowiadanie motylka, powieść podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina. — Łamigłówki i rozwiązania. **Dodatek książkowy:** Druga matka, powieść dla dorastającej młodzieży p. Bronisławę Porawską (autorke „Reginki”).



### NAJMIŁSZY PODAREK.

Co też to za radość była dla Janinki, skoro w dzień swoich urodzin otworzywszy z rana oczki, ujrzała się otoczoną podarkami.

W jej małym pokoiku nie było nikogo: Jaśne wiosenne słońce tylko, ciekawie zaglądało przez okno, i jakby chcąc obudzić śpioszkę, padało wprost na łóżeczko, a na stoliku pozłociło wszystkie poskładane niespodzianki. A jakież tam śliczne były rzeczy!...

Tuż nad poduszką, zwieszała wonne białe kwiaty róża w doniczce, obok leżały „malowanki”, dalej, wyciągając rączki do swjej przyszłej właścicielki, rozsiadła się na krzeselku lalka, przybrana w balową sukienkę, potem pomarańcze, piłka... czegoż bo tam nie było!...

Janinka jednym spojrzeniem objęła to wszystko, usiadła na łóżku i z radości rozśmiała się głośno. „Kwiatki i książka to od tatusia, myślała potem, lalka od mateczki, pomarańcze od braciszka Władzia, a piłka od...

Ale nie dokończyła jeszcze zgadywać, kto mógł jej to wszystko ofiarować, kiedy otworzyły się drzwi, i do pokoiku weszła babcia z koszyczkiem w ręku.

Babcię Janinka niezmiernie kochała, to też była bardzo wzruszona skoro ta ucałowawszy ją serdecznie, podała jej zamknięty koszyk, mówiąc: To dla ciebie, otwórz i zobacz!

Z biciem serca uchyliła wieczko i krzyknęła z radości. Na dnie miękko wysłanem spał zwinięty w kłębuszek, śliczny, maleńki piesek,

Piesek!... O własnym piesku marzyła przecież oddawna!...

Babunia uśmiechnęła się na widok radości wnuczki. Potem wyjęła śpiące stworzonko i kładąc je na kołdrze rzekła:

— To dla ciebie Janusiu, będzie on twoim tylko i nazwiesz go jak zechcesz, ale pod jednym warunkiem.

Dziewczynka spojrzała w oczy babki.

— Pod warunkiem że sama będziesz myślała o jego potrzebach i nie będziesz go męczyła pieśczoćkami — kończyła babunia. — Możesz się z nim bawić parę razy na dzień, ale pierwój myśl o tem aby był nakarmiony o swojej porze. Jest jeszcze bardzo malutki i trzeba też bardzo dbać o niego, ażeby się wychował. Cóż, czy przyrzekasz obchodzić się z nim troskliwie?

— Przyrzekam, przyrzekam babuniu — zawołała ucieszona Janinka, całując jej ręce.

W tej samej chwili piesek się obudził i zaczął biegać po łóżeczku. Był to delikatny charcik cielistego koloru z różowym noskiem i rozumnymi oczkami.

— Babuniu, wiem już, nazwę go: Ami. Mamusia mnie uczyła, że to po francuzku znaczy przyjaciół, a on będzie naprawdę moim przyjacielem.

— Jak chcesz moje dziecko. Niech będzie Ami — odparła wychodząc babcia.

Janusia zerwała się z łóżeczka; dziękowała potem wszystkim za podarki, ale choć tego nie mówiła, podarunek babuni cieszył ją najwięcej.

Odtąd w wolnych od zajęcia chwilach oddawała się wychowaniu ulubionego pieska. Pomnąc na przestrogę babuni, obchodziła się z nim jaknajostrożniej i myślała o wszystkich potrzebach wychowanka, to też ku wielkiej jej radości Ami z czasem rósł, coraz nowe zabawniejsze figielki przychodziły mu do główki, a co najważniejsze tak się przywiązał do swjej młodej pani, że na krok nie chciał jej odstąpić.

Na spacerze zawsze biegł przy niej, skacząc radośnie, a trzeba było widzieć jak wybornie umieli się razem bawić latem w ogrodzie! Janusia uciekała co sił starczyło, Ami zaś ją gonił. Póki był jeszcze mały udało jej się nieraz uciec, później jednak zawsze wygrywał, i dogoniwszy, chwycił lekko zębami za sukienkę, warcząc figlarnie.

W zimie również nie nudzili się nigdy. Po skończonej lekcji z matczką, podczas której Ami leżał cichutko u nóg swjej pani, rozpoczynano zabawę w „chowanki”. Dziewczynka chowała najpierw pieska pod stół przykryty długą serwetą, tak aby nie widział gdzie ona pójdzie, poczem sama cichutko kryła się gdzie w kącie lub za parawanem w innym pokoju, a kiedy z kryjówki zawołała ciekawym głosem: Ami, tu! wówczas on, który znał już taką zabawę, wydostawał się z pod stołu i obiegał całe mieszkanie, zaglądając ciekawie w każdą szparę. Naturalnie, po pewnym czasie zawsze ją odszukał a wtedy rozpoczynano grę na nowo.

Janusia pamiętała, iż całą tę przyjemność zawdzięczała babuni, to też często ścisnęła ją i dziękowała wołając: — Ach babuniu, jakaś ty dobra że dałaś mi nie żadną zabawkę tylko taki podarek. Ami, to najmilsza moja rozrywka i najlepszy przyjaciel!...

Ale babcia odpowiadała jej na to: Moje dziecko, to tylko twoja zasługa, bo nie męcząc pieska zbyt dużą czułością, jak to robią inne dzieci, potrafiłaś go sama wychować i przywiązać do siebie.

*Cairo.*

## MYSZKA.

Wyszła z nory myszka mała,  
I po domu plądrowała:  
W każdy kącik zajrzeć musi,  
Tak ją wszystko wabi, kusi,  
Tu się wsunie, tam się wkradnie,  
— Myszko, myszko, tak nie ładnie!  
Zobaczy cię kotek bury,  
I pochwyci w swe pazury.  
Wróć do nory, póki pora!  
Ale myszka niezbyt skora,  
Nie ma przestróg na pamięci  
Po pokojach wciąż się kręci.  
Cóż się jednak w końcu stało?  
Kot pochwycił myszkę małą,  
Już kosteczki z niej zajada.  
— Nie słuchała — trudna rada!

*Helena Bojarska.*

## BOBRY.



**B**ył dzień zimny, chociaż słońce świeciło. Śnieg błyszczał srebrzysto i skrzypiał pod nogami. Dwóch chłopców Staś i Adaś stali przy oknie i przyglądali się z zajęciem, jak ludzie otuleni w futra biegli pośpiesznie ulicą. — Tęj pani to ciepło, bo ma lisy na sobie — mówił Adaś.

— Ale zawsze nie tak ciepło, jak temu panu, co z nią idzie, bo ma bobry na sobie — odpowie Staś.

— Alboż bobry cieplejsze?

— Ma się rozumieć, bóbr w zimie nawet w wodzie nie marznie.

— W wodzie? Co też ty mówisz! Zwierzęta takie miałyby nory w wodzie.

— O, jakie! z daleka wyglądają, jakby się stogi siana z wody wynurzały; ja się też dziwiłem, gdy mi ojciec opowiadał o ich życiu.

Bobry budują domy pośrodku stawu lub rzeki na

mieliźnie, robią je z kawałków drzewa i drobnych gałązek, a wszystkie szpary zatykają gliną i szlamem.

Wewnątrz urządzą budynek bardzo porządnie. Jest w nim jeden pokój duży, gdzie siedzi sam bóbr i parę mniejszych pokojów przeznaczonych na spiżarni. W nich nagromadzone są zapasy. Mieszkania całe wyspane są piaskiem lub drobnymi kamyczkami.

Z budynku wychodzi długie przejście podziemne, otwór tego przejścia jest dobrze ukryty pod wodą.

— Mój kochany — pyta zdziwiony Adaś — zkądże one biorą drzewo i gałęzie na budowę?

— Wychodzą na brzeg i obłamują gałęzie z krzaków, a czasem przegryzają pień u spodu dopóty, dopóki ten się nie powali. Wtedy obłamują części drzewa, ciągną zębami do wody, rzucają je i sprowadzają tam gdzie potrzeba.

— To one nam szkody wyrządzają — mówi Staś.

— O, toby jeszcze małe były szkody, gdyby psuły tylko tyle drzewa ile do budynków potrzebują. Ale lubią bardzo ogryzać korę drzew młodych, obcinać pędy roślin, pąki drzew; wszystko to bowiem stanowi ich pożywienie. Szczególnie dużo szkody wyrządzają w jesieni, kiedy zbierają zapasy na zimę.

Wtedy nielitościwie obdzierają z kory ulubione przez siebie drzewa, jak: wierzy, topole i jesiony i ściągają je do mieszkania swego.

— A dlaczego bobry stawiają domy nie w lesie, tylko na wodzie? — pyta Staś.

— Bo są bardzo lekkie, najwięcej boją się o swoje dzieci, żeby im kto nie porwał. W wodzie zaś są nierównie bezpieczniejsze. Chociaż i tu mają swoich strażników bobrów, dających im znać o niebezpieczeństwie.

— A czy dobrze pływają?

— Wybornie, bo palce tylnych nóg mają spięte błoną.

— Ludzie powinni by tępić tych szkodników.

— To też i tępią. Chociaż o ile bobry za życia szkodzą lasom naszym, o tyle po śmierci są ludziom bardzo pożyteczne.

Dają nam najlepsze i najcieplejsze futro ciemnobrunatne.

— Czy to ładne zwierzę?

— O nie; brzydkie i niezgrabne; głowę ma dużą, tułów szeroki, szyję krótką i grubą; a co ogon to niesłychanie dziwny: bo jest długi i pokryty nie siercią, jak całe ciało, tylko łuskami.

Bóbr pływając posługuje się ogonem niby sterem.

Zresztą dość opowiadania, wolę ci pokazać obrazek.

Staś z ciekawością chwycił obrazek i zaczął się przyglądać bobrom.

*Marya Weryho.*

## OPOWIADANIE MOTYLKA.

Powiatka podsłuchana w ogrodzie przez Wiochnę z pod Lublina.

(Dokończenie).

— Skończyłem — zaczął znowu swe opowiadanie — na tem, że opiekunki moje w książce jakiejś szukały

wskazówek co do mego żywienia, wyczytały tam coś widocznie o listkach kapusty, bo wkrótce przyniosły mi kilka świeżych, zielonych, soczystych, jednym słowem doskonałych, ale mnie już nic nie smakowało; straciłem zupełnie ochotę do jedzenia, co było najlepszym dowodem choroby. Rzeczywiście czułem się słabym, smutnym, znękanym i po całych dniach leżałem w kącie mego więzienia, którego już nie zamykano, bo panienki przestały się obawiać ucieczki, widząc że poruszam się z trudem. Z każdą chwilą było mi gorzej i gorzej, a ludzie kręcący się przy mnie i rozmawiający bez względu na moje zdrowie, drażnili mnie niewymownie. Dziwił mnie ich gwar i zajęcie się różnymi drobnostkami życia, które tak blahami wydawały mi się teraz. Przecierpiałem wiele, ale nie mogę powiedzieć, że to były chwile zupełnie stracone dla mnie: nauczyłem się i korzystałem bardzo dużo, pojąłem że dobre uczynki zawsze niosą z sobą szczęście i zadowolenie, złe — smutek i niesmak.

Przekonał mnie o tem przykład mych małych opiekunek: jeżeli wstały rano, wcześniej przyszły na lekcję i uczyły się pilnie, z ochotą, radość błyszczała na ich twarzyczkach, a zadowolenie przebijało z oczek, wtedy i nauczycielka była mniej surowa i nieraz wybuchy śmiechu rozbrzmiewały wesoło. Przeciwnie gdy czasami—choć trzeba przyznać, że to się rzadko zdarzało—napadła je chętka próżnowania, cała lekcya szła jakoś leniwo, nieswojo, miny były kwaśne, a humory złe. Pewnego dnia, te dwie siostrzyczki posprzeczały się o coś bardzo i cały czas siedziały skrzywione i nadąsane, nie patrząc wcale na siebie. Trwało to dosyć długo, ale przy końcu lekcyi, gdy już chowały książki do szafki, żal im się widać zrobiło zaciemniać sobie życie własną niezgodą, spojrzały więc na siebie raz i drugi pojednawczo, uśmiechnęły się i pocałunkiem przypieczętowały ugodę świeżo zawartego pokoju. Twarzyczki ich rozjaśniły się w jednej chwili, a ja pomyślałem, jak piękną jest zgoda i uznanie popełnionych win. Zauważyłem także, że ludzie zawsze są czemś zajęci i każdy czem innem, a uwaga ta przydała mi się bardzo w późniejszym życiu.

Pewnego razu, gdy zostawiono mnie samym, zauważyłem że drzwi roztwarte są szeroko. Nadzieja ocalenia, ucieczki zaświtała mi w myśli, zebrałem resztę sił i podążyłem w tę stronę. Szedłem długo, bardzo długo, nagle owiało mnie świeższe, chłodniejsze powietrze, a potem... nie wiem co się ze mną stało: wpadłem w rodzaj głębokiego snu czy odrętwienia, z którego dotąd nie mogę sobie zdać sprawy. Trudno mi powiedzieć jak długo trwał ten szczególny stan, wiem tylko, że gdy wreszcie odzyskałem przytomność, uczułem się zupełnie inną istotą: wszystkie bóle i cierpienia ustały jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, byłem zdrow, swobodny, wesoły.

Ucieszony tą niespodziewaną zmianą chciałem popędzić dalej, rozejrzeć się trochę w koło siebie, aż tu lekkie skrzydełko uniosło mnie w górę.

Byłem więc motylem! Z niewypowiedzianą radością próbowałem wytrwałości mych skrzydełek unosząc się ciągle po szerokiej przestrzeni napełnionej skrzyniami, ubraniami i sprzętami ustawionymi bez ładu i składu. Wtem strumień ożywczego, balsamicznego powietrza

technął na mnie ze dworu, ujrzałem jasne obłoki i zielone wierzchołki drzew, teraz nie zatrzymała mnie tajemnicza, niepojęta przeszkoda: w kilku poruszeniach skrzydełek ujrzałem się na wolności. Skończyła się więc moja niedola! Usiadłem na kwiecistej gałązce akacyi i rozkoszowałem się tem dawno pożądanem szczęściem. Wolność! cudny, uroczy brzmiący wyraz, ten tylko zdoła pojąć całe jego znaczenie, kto długo przebywał w niewoli. Po pierwszych chwilach zachwytu i uniesienia nastąpiła rozważa i zastanowienie: przypomniałem sobie życie ludzi, że każdy tam ma zajęcie, każdy ma swoje obowiązki, jakiś cel starań i zabiegów; czyżby owady miały być wyłączone od pracy, do jakiej przeznaczony jest świat cały? Zwróciłem się z tem pytaniem do jakiegoś starego, szanownego motyla. Ten popatrzał na mnie z uwagą i rzekł poważnie:

— Patrz ile tu kwiecica rośnie wśród zieleni, naszym zadaniem jest roznosić na lotnych skrzydełkach delikatny pyłek ich pręcików, służyć im za przyjaciela, gońca i powiernika.

Słowa te wyryły się w mój pamięci: w czasie krótkiego motylego istnienia krzątałem się ciągle między kwiatami, przelatując z kielicha na kielich, spełniłem obowiązki do jakich mię powołało przeznaczenie i umieram spokojnie, tobie powierzając los moich dzieci.

Zadumał się motylek, zamyśliła się nawet ruchliwa szczypawka, a wtem natrętny wróbelek zaświergotał na pobliskiej gałązce i nasi przyjaciele rozbiegli się szybko każde w swoją stronę.

## SZARADA.

Przyimek albo rzeka  
Do tego polowanie...  
Złożą to, czego para  
Za jedną całość stanie.

Łamigłówka kryształowa.  
ułożył Papieros.

1. Spółgłoska.
2. Bryła lodu.
3. Sprzęt domowy.
4. Nazwa okrycia.
5. . . . .
6. Rzeka w Irlandyi.
7. Rzeka.
8. Organ wzroku.
9. Samogłoska I.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwisko słynnego poety.

## ROZWIĄZANIA DO N-ru 38-go

### Zadania konikowego:

Jednemu szydła golą, drugiemu brzytwy nie chcą.

## Łamigłówki sylabowój:

Sabina — Tarnopol — Erie — Lajbach — Antiwari.  
Stela i Hela.

## Skrzynka do listów.

Dziwiło nas to, że **Mgła** kochana od tak dawna nie odzywała się do nas. Czyby ją rozproszyło skwarne słońce, wakacyom dopiekające? myśleliśmy sobie. Aż oto odzywa się do nas wyreczycielka Mamusi i dołącza nam dowód, że, chociaż **Mgła** jest, w paluszkach jednak igłę utrzymać umie.

**Wiel. Jul. M.** Uczynimy zadość życzeniom Szanownej Pani, pamiętając o tem, aby **Andzia** nie doznała przykrości z powodu przerwy w otrzymywaniu naszego pisma. Szczera radość sprawia nam zawsze wiadomość, że ukochane dzieciny czytają je z zajęciem.

**Wiel. Mar. Sok.** Uczucia Szan. Pani podzielamy w zupełności, pojmując, jak dotychczasowe położenie musiało jęj ciężzyć. Oby tę cieszącą się **Anulkę** szczęśliwie i zdrowo **Bóg** wychować dozwolił razem z jęj młodszą siostrzyczką!

**Polka z nad Szczary** pisząc do **Gołąbki** i nam przesyła serdeczne słowo, za które jęj odpłacamy uściskiem. Na **Gołąbkę**, nad morzem kędys bujającą, czekają świeżo nadeszłe liściki od **Gołązki Osiny** i **Zorzy Północnej**. Pracowite to i miłutkie istoty, którym nietylko od „kochanej” **Gołąbki** należy się uścisk.

Szarady tak **Niezapominajki z nad Jabłoni**, jak i **Prawdy** musiały uleść zupełnemu przerobieniu.

**Zorzo** droga, za słowa twego liściku... „byłabym wolała wrócić do domu, bo dużo tam było weselej, ale obowiązek przede-wszystkiem”, uściśnąć cię tylko możemy. Tak, dziewczeczko, obowiązek zawsze przede-wszystkiem! a im surowiej pojęty, im miłośniej pełniony, tem jaśniejszą zorzą dobrego przykładu i czynu zanego przyswieca. I ty sama, jak zorza, promieniejesz całą pogodą i weselem spełnionych chętnie obowiązków... Wielka to umiejętność z drobnych zdarzeń życia radość serdeczną wyciągać, a téj, jak widzimy, powinszować ci można...

Na lat ośm, **Kozak Sawa** wcale nie pisze „nieładnie” i na konkursie kaligrafii nie należałby do ostatnich.

**Królowa Elfów** musiała już czytać w naszym Pisemku odpowiedź, udzieloną przez autorkę na nader liczne dochodzące nas w tym przedmiocie zapytania? Użytecznego przepędzenia wakacyj winszujemy.

**Pszeniczko**, tak ładnie pisząca pomimo bólu oczów, z serca życzymy, aby kuracja jaknajprędzej przyniosła ulgę tym biednym oczutom. Praca dla ubogich dzieci w ostatnich warunkach wykonana, daje nam miarę pocziwości twego serduszka. Jutrzeńko, krajać *samęj* nie jest rzeczą konieczną, chociaż umiejętność to pożądana i nie wątpimy, że nabędziesz jęj z czasem.

Dwie **Marynie z Chr.** uprzejmie prosimy, by zaczekały na swoją kolej, o której wiedzą, jak jest niewruszoną i nieubłaganą. Dla nas samych rzecz to nieraz przykra, ale koniecznie musimy pilnować porządku. Inaczej krzywdaby się działa jednym na korzyść drugich.

**Jaskółko z nad Bohu**, „zapomnienie” które nam wyrzucasz, jest także tylko pilnowaniem się porządku. Wartoby też posadzić w Redakcyi takiego jak ty ptaszka, żeby zobaczyć, czy sobie da radę z natłokiem korespondencyi, w obec szczupłego miejsca jakie dla niej przeznaczyć możemy.

Z każdym rokiem, **Królowo Wrózek**, powiększa się grono naszych staruszek; może przy sposobności pomyślimy o tem, by nową nicią wzmocnić ów węzeł, który nas z niemi łączy.

**Błyskawicy** aż zazdrościmy miłego spędzenia wakacji. Po-dróż, jaką odbyłaś, to, co w niej widziałaś, mogło w samęj rzeczy nasunąć ci wiele myśli i nowemi przejąć cię wrażeniami...

**Ukrainka na Mazowszu** na czas przyszła robotę siostrzyczki

Teresi, ale na robocie niema żadnej kartki, nawet liścik do nas nie podpisany. Czyżby „wiek” zrywać miał węzły serdeczne, że wąż pisz dziewczeczko, o prawie pisywania do nas?

**Wiel. Mar. Jak.** Zaginione numera wysłaliśmy powtórnie; dla **Mani** i **Brońci** dołączamy „**Bóg zapłać**” w imieniu biednych dzieci.

Drogi **Kmicicu!** Przepraszam cię, iż tak długo nie odpisywałem, ale mi brakowało czasu. Donoszę waści, iż wąsików jeszcze nie posiadam ale być może, że później wszystko będzie. Za parumiesięcy kończę lat 15; jestem w IV ej klasie i mieszkam w **Warszawie**. Jeśli jesteś zesłorocznym prenumeratorem „**Wieczorów**” to znajdziesz list do siebie w Nr. 38, a łamigłówkę w Nr. 44 rocznika zesłorocznego. Co lubisz najlepiej? ja poezye. Napisałer już dużo wierszy, jako to „**Zawisza Czarny**”, „**Bolesław Śmiały**”, „**Epaminondas**”, „**Egzamina**” i wiele innych.

Bywaj, zdrów mój ty, **Kmicicu!**

I odpisz-żeż, ty z **Tyflisu**. Twój *Wolodyjowski*.

Kochane: **Biała Chmurko**, **Jesieni** i **Filaretko!** Winszuję ci **Biała Chmurko**, żeś družką była, ja też raz w życiu mając lat 1 dostąpiłam tego zaszczytu na weselu mojej ciotki. Chciałabym się z tobą kiedy zobaczyć; może w **Rosółowcach**? **Filaretko!** W czasi wolnym od nauki przechadzam się, gram w piłkę, robię robotę i czytam. Donoszę ci, **Jesieni**, że wielkiego upodobania do muzyki nie mam. Prosząc bardzo, abyście jeszcze kiedy do mnie napisały całuję was, drogie siostrzyczki, *Kuropatwa z nad Ikopetiu*.

Luby poranku i ty, droga **Czarnooka z Puszczy!** Ucieszyłam się, że nie zapominacie o mnie. Ty, **Poranku**, przyslij mi kiedy także jaki osobny liścik, a tobie, **Czarnooka** powiem, że cię pokochała jeszcze więcej za to, że przenosisz swoje puszczę nad obce krainy. Całuję was serdecznie. **Brzydotka z nad Tamiży**. **Lubą Wiedenkę z żywopłotu i wzajemnie serdecznie pozdrawiam**.

**Miluchna Pomarańczarko**. Bardzo się cieszę że chcesz ze mną korespondować. Niezadługo kończę 14 lat. Lubię bardzo konn jazdę, łódkę i inne przyjemności wiejskie i jeszcze mnóstwo rzeczy o których ci potem napiszę. Jestem wysoką ciemną blondynką z ciemnymi oczami i białą cerą. Opisz siebie kochana **Pomarańczarko**. Posyła ci uściśnienie. *Śpiwna Lira*.

Droga moja **Cezaryno!** Chętnie zaczynam z tobą korespondencyę, tem bardziej że teraz wolniejszą jestem, bo skończyła nauki, odebrawszy na kursach dla panien w **Sorbonie** 3 medal Chcesz, bym ci o sobie doniosła? Otóż wiedz, że okropnie starze mi na imię **Julia** i że czuję wiele sympatyj dla czytelniczek **Więzorów**. Twoja życzliwa *Jaskółka z nad Sekwany*. Jerzynkę **Wesalską** i **Gołąbkę W.** ściskam serdecznie.

Kochana **Psotnico!** I mnie twój pseudonym podoba się i chciałabym z tobą korespondować. Mam lat 12, uczę się w domu, jestem wesołą, a z twego pseudonymu pokochałam cię. Odpis mi tylko napewno, bo z wielką niecierpliwością będę oczekiwała twęj odpowiedzi. Całuję cię serdecznie. *Figlarka*.

Miła **Wiochno z pod Lublina!** Obie jesteśmy staruszkami i obie dawnymi korespondentkami, a dotąd żadnego liściku nie zmieniłyśmy ze sobą! Na początek naszej znajomości uścisk serdeczny ci przesyłam. **Psotnico** kochana! twój pseudonym zachwył mnie; wesoła z ciebie widać osobka, co do mnie choć jestem prastarą staruszką, to figle płatać umiem jeszcze doskonale! **Kapla ko Znicza!** teraz dopiero znalazłam twój liścik miłutki, wybacz mi proszę, i przyjm uściśnienia od roztrzępanej i kochającej *Czeskiej Niezabudki*. Serdeczne pozdrowienia **Jaskółce Nadsekwanijskiej**.

Drogie korespondentki. Jeżeli która z was pisała do mnie w przeciągu ostatnich trzech miesięcy, a odpowiedzi nie otrzymała niech mi tego za złe nie bierze. W tym właśnie czasie spotkał mnie cios okropny: straciłam moję najlepszą matczkę! Nic wi dziwnego iż na listy wasze nie odpisywałam; sądzę że nie weźmiecie mi tego za złe. Czekając waszych liścików, zostaję kochającą was. *Stokrotka z nad Stochodu*.